

Nieopodal miejsca, w którym dwa wąskie strumyki spletały się w zapaśniczym uścisku, wygrzewał się kamień o kształcie bawolego serca. Był olbrzymi i gładki, ograbiony ze wszelkich rys, jakby to sam król złodziei wydarł się z kart awanturniczej księgi, aby dokonać nań śmiałego rozboju. Wydawało się nawet, że gdyby choć pojedyncza zmarszczka zakłóciła ową dostojną, skalną egzystencję, stałoby się w krajobrazie coś niesłychanego. Niewybaczalnego. Niedorzecznego!

Jeśli ktoś obiektywny spojrzałby na tę trawiastą równinę, równinę pozbawioną kamienia, wówczas krzyknąłby z pewnością: „Przydałby się tutaj jakiś kamień!”. Tak oczywista była to bowiem kompozycja.

Wypada jednak wiedzieć, że nawet taki pozornie nudny głaz, jak ten, mógł pochwalić się czymś wyjątkowym. Każdy prawdopodobnie skrywa w sobie w końcu to „coś”, cechę, której nie posiada w świecie nikt inny. Zaletę schowaną pod grubą fałdą ropiejącej skóry, niedbale rzuconą pod warstwę zmurszałego piasku, z pozoru nieistniejącą, bądź wyblakłą.

Nieco spłaszczony na górze... przypominał leżankę. W sam raz na kogoś niewysokiego wzrostu, raczej mikrej postury, o lekko gadzich, ciepłolubnych upodobaniach.

Aby dojść do sedna, trzeba w tym miejscu złamać dawno daną obietnicę.

A więc...

To akurat na nim, tym niemym olbrzymie, zwykł spoczywać umęczony pracą Abidemi. Abidemi, czyli wiecznie uśmiechnięty łobuz i... notoryczny kłamca. Czarodziej półprawd, zongler niejasnościami. Jeden z tych dzieciaków, których całe armie okupują okolice miast, wsi i miasteczek, gdzie dachy każdej z chat pokrywa gnijący gont biedy, gdzie rzeki są wolne od śmieci, puszek, butelek czy kartonów, ponieważ nic, absolutnie nic, nie ma prawa się zmarnować. Z butelek – buty, z puszek – garnki, z kartonów – wszystko inne. I tak dalej, wciągając w ten obłędny krąg następne wzgardzone odpadki.

Abidemi?

Umęczony pracą?

Nie warto w to wierzyć.

Raczej... umęczony widmem pracy.

Cieniem, który rzuca motyka do spółki ze swoim mężem, szpadlem.

Już tłumaczę.

Chłopak odnalazł w osobliwym, kamiennym przyjacielu nie tyle podporę, wymarzoną ucieczkę od ujadającego słońca, ile raczej kryjówkę, naturalną osłonę przed ciskającą rozkazami matką.

„Abidemi! - wołała zdecydowanie zbyt często. - Musisz iść do szkoły, musisz nakarmić kurczaki, musisz przynieść wody – ale całe wiadro, a nie to, co zwykle! - ...musisz przypilnować brata, musisz obrać bataty – tutaj brała łyk powietrza, a potem znowu, z mściwą chyba pasją - ...posprzątać obierki, musisz pójść na zakupy, musisz przyprowadzić wuja, musisz...”.

Musisz, musisz i musisz.

Nie, nie i nie!

Abidemi wolałby znosić wielogodzinne przypiekanie rozgrzanym żelazem „potem”, aż do utraty czucia, albo i nawet, niech będzie, tchu, niż ruszyć się z miejsca „teraz”, dźwignąć swój przylepiony na klej lenistwa kuper. Każda głupota, im bardziej przerażająca, tym lepiej, była godniejsza jego uwagi niż cokolwiek innego. Każda rzecz, która dostarczała grawitacji ciała kolejnych argumentów do romansu z bezruchem, dołączała do orkiestry grającej na jego korzyść. Nawet ta bzycząca wściekle mucha, która sama

nie wiedziała, w którą stronę zmierza, posiadająca raczej blade pojęcie, gdzie gnój, a gdzie znój, wydawała się ciekawsza, niż tyra. Zwłaszcza tyra z rodzaju tych najokropniejszych. Tych, które droczą się z rękami za pomocą odcisków, zacięć i obtarć.

W zasadzie wredne obowiązki mogą sobie poczekać, bo one zawsze poczekają, rozumował Abidemi. Są jak rzep na cielecym ogonie. Jak zwilżone, uporczywie trzymające się nogawek błoto, które z lubieżnością pijawki pławi się na skorej do igraszek tkaninie. Najchętniej przełożyłby je na kolejny termin w dość odległej przyszłości, taki jak „kiedy indziej” lub jeszcze lepiej - „nigdy”.

Toteż Abidemi tkął na krośnie wyobraźni przeróżne opowiadki, które w jakimś stopniu go rozluźniały. A już na pewno zajmowały, powstrzymywały od czynności mających znamiona pożyteczności. Przypominał sobie na przykład o ciotce, siostrze mamy i równocześnie najgrubszej kobiecie znanej mu osobiście. Grubej w takim stopniu, że strach, że ślady jej kłapek potrafiły odciskać się nawet na zeschniętej na wiór glebie. Skąd niby te wszystkie kraterki albo słyszane późną nocą tąpnięcia?

Trudno pokładać w tym wszystkim wiarę, przyznaje. Sitko do przesiewania plotek zawsze może się przyśłużyć, szczególnie ludziom rozsądnym, lecz tym razem Abidemi nie kłamał. Miał najzwyczajniej w swoim świecie pół-rację. „Aż tak cię dobrze karmią w tym urzędzie?” - pytano przecież słynnej ciotki nie bez zazdrości, kiedy otrzymała posadę w jakimś odległym grajdole. A ona zwykła odchrząkiwać na te zagajenia obrażona, na dodatek odgrywając ulubioną scenę wywijania rękami. Wystarczy dopowiedzieć, że nierozsądnie zbliżała się przy tym wyglądem do kwoki. Takiej, która ucieka przed wujem trzymającym w rozedrganej ręce siekierkę, takiej, która już wie, że dalszy etap gonitwy pokona prawdopodobnie bez głowy, więc macha i macha skrzydłami z zaskakującą częstotliwością, jakby na siłę sycąc je ostatnimi sekundami żywota.

Ciotunia może nawet nie zdawała sobie sprawy z arkanów własnych krągłości, może nie patrzyła w taflę wody zbyt często, jak to w wioskach bywa? Abidemi zapamiętał ją zresztą najlepiej nie z urzędu czy tłuszczy buzującego pod naciągniętą do granic spódnicą, tylko z tego, jak niezręczna okazywała się w starciu z rzeczywistością.

Pamiętacie tę historię?

Pewnego razu nieomal nie zburzyła jedynej w okolicy studni przez upuszczenie nań ciężkiego, skręcanego wiadra. Nikt nie mógł się spodziewać, że ciotka ma aż tak słaby balans ciała i aż tak niemiło skonstruowane uda, przechodzące w niemiło skonstruowany tułów, żebry obrać na cel równie miłą konstrukcję. Ta przez wieki żyła sobie w spokoju, pozwalając swoim budowniczym leżeć w grobach bez przesadnego przewracania się, aż tu nagle: buch! Wybił dzień sądu, ciotka wyszarpnęła studni kawałek glinianego „ja”.

Dochodził środek dnia. Słońce odepchnęło dwie niepozorne chmury i zasiadło samolubnie na nieboskłonie.

Abidemi wystartował w dziwnym konkursie. Niespecjalnie mu to wychodziło, pocił się tylko i denerwował, próbując zachować morderczą koncentrację. A był to wysiłek raczej niewspółmierny do przewidywanych nagród. Rzecz polegała bowiem na szerokim rozwarciu powiek, uniesieniu głowy i odmierzaniu czasu, oczywiście w myślach. Jak najdokładniej, ale i bez przesady. Największą trudność stanowił tutaj albowiem nie czas, a znacznie potężniejszy przeciwnik – słońce; kula łzawiącego ognia, którą to Abidemi wyzwał na nierozsądny pojedynek spojrzeń.

Pech chciał, że słońce jak to słońce, zdecydowanie było tego południa w formie. Aby wygrać, należało przyglądać się mu jak najdłużej, niczym komuś, kto jest niezmiernie interesujący, lecz niestety... Niepokorne oczy zaczęły poddawać się tym razem bardzo szybko. Chyba ich samobójcze skłonności i wiara w powodzenie poszły ze sobą w parze. Chłopiec przyjął to ze smutkiem. Trudno będzie pobić rekord bez jednego-mrugnięcia, zrozumiał. Mimo że ustanowił go w zupełnie pochmurny dzień, to wciąż się z nim bardzo liczył.

Nudził się.

Nudził się!

Nudą ociekała zresztą cała okolica, wzorem cieczy starannie zasklepiając każdą namierzoną szczelinę, wyrwę czy miniaturową choćby norę. Sączyła się z nieba wraz z kropiącym żarem, czasem też wychylając swą długą niczym maszt szyję znad nieporabiającego zupełnie nic horyzontu. Lada moment mógł spaść nawet deszcz nudy, rzęsisty i nieubłagany, topiąc oraz poniewierając wszystko na swej drodze.

Ten kamień też jest przeklęty nudą, zdenerwował się Abidemi.

- Baw się sam, słyszysz? Nudziarz! - zawołał.

Chłopak oderwał plecy od minionego już przyjaciela i popędził zupełnie bez powodu przed siebie. Bose nogi opowiadały mu niestworzone historie o każdej mijanej nierówności. Lubił to uczucie. Towarzystwo wiatru walczącego z upałem o temperaturę, harce kompanów-powiewów, smagających zapachem rozgrzanych traw na lewo i prawo, jak gdyby zapyłającym nozdrza biczem. Wszystko nadzorowała pozorna cisza, ewidentnie dumająca nad tym całym polem pogodowej bitwy.

Przyśpieszył. Pragnął zrównać się z wiatrem.

Sawanna prędko skrzyżowała się z drogą. Dziwne to było, wbiec tak po prostu, tak nagle na utwardzoną rzadkim żwirkiem szosę. Niedawno porastały ją przecież żdźbła strzeliste jak drzewa, które ani myślały przepuścić przez swój samolubny grzbiet kogokolwiek roślejszego niż drobna mrówka. A teraz – patrzcie! Abidemi!

Dawno, kiedyś, lata wstecz, straszyły gęstwina i niepewnością skrywanych w swych czeluściach niespodzianek. Węże, wiję, skorpiony, pająki. Skutecznie walczyły z ekspansją opon, stóp czy nawet łap. Powstrzymywały przemarsze lwów, targając ich grzywy nieznośnymi, kłującymi razami. Pluły w oczy stworom, planującym niepostrzeżenie przedrzeć się przez zasieki afrykańskich kaktusów. Roślin czasem bardziej niebezpiecznych niż najgorsi drapieżcy. Ale już nigdy więcej. Niziny musiały dać sobie spokój i przyjąć na dziewicze łono ryczące, ziejące spalinami bestie. Koniec z padliną usychającą wśród śmiechu hien. Częściej można tu teraz spotkać na wpół rozebrany wrak auta, czekający na przyrzeczoną mu śmierć rozkładu. Rozlaną plamę oleju niż życiodajną kałużę.

Chłopiec potknął się, lecz zaraz z werwą odzyskał równowagę.

Wodopój dla zwierząt zastąpiła stacyjka benzynowa. Konwój samochodów przejechał tędy raz i to w zupełności wystarczyło, aby rozpocząć nową erę. Nikt nie zamierzał bronić niegdyś niezwykłej krainy. Idzie nowe, powiadano. Jednakże ani za czasów kolonizatorów, ani niedawnych handlarzy złotem, nikomu nie udało się podbić tych łądów. Sztuka ta powiodła się dopiero technologii, miłości, której nie da się oprzeć, jednej z tych prawdziwych, wrzających od uczucia oraz automatycznie odczuwanego wręcz pożądanego. Szlak dla mas został wytyczony. Nie dało się tego cofnąć, tak jak nie da się zawrócić wskazówek zegara, lub nagiąć go samego do swej woli śmiesznej w gruncie rzeczy groźbą wyjęcia baterii.

Wystarczył jeden, a reszta skierowała wzrok za wzrokiem pioniera. Koło w koło, łamanie gnatów-korzeni rozpoczęło się na dobre.

Abidemi zatrzymał się. Przeliczył uważnie ślady pojazdów. Odnalazł ich całkiem sporo, zdecydowanie więcej, niż wczoraj. I przedwczoraj. I jeszcze wcześniej. Czyżby odbyła się tutaj jakaś motoryzacyjna schadzka? - zastanowił się. Postanowił odgadnąć markę ostatniego przejeżdżającego samochodu, co wcale nie było takie trudne. W okolicy widywano praktycznie same Fordy i Volvo, więc miał wielkie szanse na szczęśliwy strzał.

Ale stop.

Nogi, stać!

Stać, słyszycie?

Przybywający z oddali błysk przykuł uwagę Abidemiego. Cóż to? Szkło? Jasne, tylko szkło jest zdolne do podobnej niedyskrecji.

Migający punkt raz znikał, a raz powstawał ponownie. Jedynym lekarstwem na jego odszukanie było staranne mrużenie oczu i zachowanie dłuższej chwili skupienia. Zaraz z jednego, rozszczepiły się dwa punkty. Coś na wzór pary lusterek samochodowych. Przez moment wydawało się, że odbłaski niestrudzenie przeorują grzbiety odległych wzgórz, jakby z polotem zdyszanego olbrzyma trącając i przewracając niechcący pagórki i szczyty, jednak tam, za pagórkami i szczytami, wiła się – eureka! - wciąż ta sama droga, pośrodku którego wiercił się właśnie Abidemi.

Znaczy: jedzie auto! - już wiedział.

Coraz bliżej, coraz bliżej.

Tumult mechanicznych kopyt słychać było już bez problemu. Najpierw zaatakował dźwięk, potem poprawił obraz. Rytmicznie wybijany na bębnach silnika ton poprzedził wyłonienie się zza zakrętu pozbawionego dachu jeepa. Potężna konstrukcja zaczęła zwalniać. Pewnie na mój widok, pomyślał Abidemi, lecz nie zdecydował się wykonać nawet jednego, marnego ruchu.

Kurz powoli opadał.

Pasażer samochodu zdjął z szyi lornetkę, dając do zrozumienia, że odnalazł już to, czego poszukiwał.

Pojazd stał tuż przed stopami Abidemiego. Ten przysiągłby, że nieomal najechał mu na paznokcie. Był znacznie większy, niż się wydawało z oddali, wprost przeciwnie do chłopca, którego ta nagle bliskość niezwykle skurczyła - w rozmiarach, jak i odwadze.

Przynajmniej odwaga miała dość rozsądku, żeby pierchnąć w zarośla.

Klamka syknęła, drzwiczki westchnęły. But z grubą podeszwą gruchnął o ziemię. Auto powoli zaczął opuszczać kierowca. Osiągnął przy tym prędkość człowieka zsiadającego z baaardzo wysokiej żyrafy. Potem zdumienie po raz wtóry uszczypnęło Abidemiego w ramię. Nieznajomy ktoś okazał się być kobietą-kierowcą, co trudno było na początku wyłuskać. Za pomocą kombinacji okularów przeciwsłonecznych ze zbitą budową można przecież z łatwością wyczarować iluzję płci.

Chłopak przyjrzał się jej dokładnie, tym razem nie omijając żadnego szczegółu. Okazała się postacią co najmniej zastanawiającą, z chustką obwiniętą wokół głowy i miną gotową do wielogodzinnego rozmyślenia na najtrudniejsze tematy. Kobieta nie patrzyła jednak na Abidemiego. Trochę niepewnie obserwowała za to mężczyznę z lornetką, który rozwalił się na siedzeniu pasażera.

Był przerażający - ocenił Abidemi.

Najgorsze było to, co miał, a właściwie czego nie miał koło czoła, tuż nad lewym uchem. Abidemiemu aż zabrakło tchu. Jak to możliwe?! Posiadać taki... wawóz, taki wyłom w czaszce i wciąż trzymać się przy życiu? Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś uciął, nie, nawet odstrzelił mu z minimalnej odległości dorodny płąt mięsa z głowy, a następnie pozszywał operacyjnie pozostałości z zaznaczeniem, że operacja ta wyszła beznadziejnie. Paskudztwo! Te szwy, ta szkląca się w promieniach krew...

Był przerażający! - ocenił jeszcze dokładniej.

- Raz, dwa, trzy – mężczyzna niespodziewanie otworzył usta, przerywając chłopcu kalkulacje.

Tylko to. Nic więcej, nic mniej. Zachrypnięty głos odmierzający... co?

Jego brązowe źrenice pracowały tak mocno, żeby chłopiec poczuł się nieswojo. Ach tak, a więc pojedynkę spojrzeń! - zrozumiał Abidemi. Cały ten czas poświęcony na przygotowania, wielogodzinne starcia ze słońcem czy z racji braku innych możliwości – księżycem - musiał mu się wreszcie do czegoś przysłużyć. Chłopak zebrał więc całą tę męskość gromadzoną w sercu od wczesnego dzieciństwa, zacisnął czarne i groźne jak kule armatnie pięści i bez krępacji odpowiedział przeciwnikowi ogniem.

Ich spojrzenia zrównały się w idealnie prostej osi.

Tylko on i szkaradny dziwak.

Milczeli.

Abidemi wwiercił się nogami w ziemię, jakby potrzebując podparcia. Fizycznego, psychicznego, każdego. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co to za jedni. Wiedział tylko, że strach oplatał go coraz mocniej, że jego grube korzenie wydostawały się z ziemi, aby przytrzymać go za kostki.

Historie o pałętających się wcale niedaleko nieszczęściach - porwaniach, zabójstwach, całej tej zgrai nieprzyzwoitych zdarzeń - zaczęły powracać do dotychczas hulającego na beztroskich obrotach umysłu Abidemiego; zdał sobie sprawę, że okolica nie słynęła z przesadnego bezpieczeństwa. W pobliskich rejonach największe zagrożenie stanowiła w końcu pewna specyficzna odmiana dzikich zwierząt – ludzi.

A on, ten gość z pogniecioną czaszką, wcale nie robił przyjaznego wrażenia. Wprost przeciwnie.

Po chwili... znowu. Powtórzył.

- Raz. Dwa. Trzy.

Chłopcu zaschło w gardle. W okolicy – żywego ducha. Tylko ta kobieta, tylko ten mężczyzna. No i nieznośne napięcie. Gdyby tylko dało się je zetrzeć z ciała niczym skraplający się na czole pot...

- Raz, dwa...

Abidemi spuścił wzrok.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 04.02.2014 18:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.